

**„Przygody Sindbada Żeglarza” w Teatrze Polskim we Wrocławiu, „Gelsomino w krainie kłamczuchów” w Teatrze Dramatycznym w Legnicy, „Niezwykła przygoda” w Teatrze Współczesnym we Wrocławiu**

Wszyscy artyści teatralni chwają dziecięcą publiczność. Ze taką spontaniczną. Ze prawdziwą. Ze jej dużo. Ze nie toleruje fałszu...

Potem są liczby — taką a taką bajkę zagrano sto i więcej razy. Co należy już odbierać w kategoriach sukcesu artystów, bo publiczność ich chce!

Rzeczywiście, ostatnio na bajki teatru nie żałują pieniędzy. Robi się wystawne dekoracje, szyje dziesiątki kostiumów, zatrudnia przy nich całe zespoły aktorskie. Mają więc szansę zagrać nawet aktorzy, których głównym zajęciem jest odsiadanie na „ławce rezerwowych” i pobieranie z kasy pieniędzy. Sztuki dla dzieci szykuje się przeważnie na kanikule lub inną okazję, kiedy dorosła publiczność trudno zagonić, a dzieci można przecieżyć... przyprowadzić! Najlepiej parami, w sposób zorganizowany. Grunt to plan. Praktycznie prawie każda pozycja dla najmłodszych widzów to pewny sukces statystyczno-finansowy.

Dzieci do teatru, oczywiście, przyprowadza się, ale niekoniecznie siłą. Przychodzą, nawet często, z wypiekami na twarzach. Z ogromnymi oczekiwaniami. Inaczej reaguje sala wypełniona dziećmi z rodzicami, a inaczej sa-

# Dzieci zawsze ktoś przyprowadzi...

la z przyprowadzonymi parami przez wychowawczynię. Te pierwsze, gdy artyści objawiają brak talentu, natychmiast zaczynają gaworzyć, zadając rodzicom setki pytań na różne tematy. Ta druga widownia wpada w swego rodzaju oteplenie mustrowana głośno przez opiekunkę krótkimi rozkazami: „Kucharski nie szarp za włosy Stachurskiej”, „Buski nie młaskaj tak głośno” lub „Smektała nie spuszcza spodni i nie pokazuje siurtka Sachanbińskiej”. Nie chciałbym stanąć oko w oko ani z jedną, ani z drugą widownią. Wina jednak leży po stronie teatru. Dla dzieci nie można robić spektaklu na „pół gwizdka”. Artyści, którzy rzadko mają okazję prezentować swoją inwencję dzieciom są najgłębiej przekonani o własnej uniwersalności, jak i o tym, że nie ma nic bardziej prostego od spektaklu dla nieletnich. Aktorzy więc załatwiają rzecz grepsami, a reżyserzy pierwszym lepszym pomysłem, nawet cudzym. Większości wydaje się, że zrobić dobrą, a nawet bardzo dobrą bajkę może każdy z nich. Tacy są utalentowani. Tymczasem dla bardzo wielu jest to wręcz nieosiągalne, a niektórym powinno być sądownie zakazane.

Mam za sobą ośmioldniowy maraton pod nazwą Ogólnopolski Fe-

stiwal Sztuk Dziecięcych i Młodzieżowych w Wałbrzychu oraz trzy dolnośląskie premiery. Razem będzie z piętnaścią. Gdybym miał te nawet lokalne uczciwie rekomendować organizatorom wałbrzyskich konfrontacji, może nieco przymknąwszy jedno i drugie oko optowałbym za propozycją legnicką „Gelsomino w krainie kłamczuchów” w reżyserii Tomasza Szymańskiego ma stosunkowo wartką akcją (między czarnymi szare jest białe), choć i ona siada w scenach królewskich. Ma najoryginalniejsze układy choreograficzne, dzieło Juliusza Stańdy, szkoda tylko, że każdy to czego się nauczył tupać, robi we własnym rytmie (o choreografii w „Niezwykłej przygodzie” w ogóle nie można mówić, choć coś takiego próbuje tam istnieć). Do nagrody w Wałbrzychu mogłaby pretendować natomiast muzyka Wojciecha Głucha (zresztą już raz na tym festiwalu dostał nagrodę za muzykę do „Alicji w krainie czarów”). W tym jedynie przedstawieniu piosenki służą rozwojowi sytuacji, a nie są tylko wypełniającymi czas przerywnikami.

Dlaczego utalentowany skądinąd reżyser filmowy przeszczerpiony do Teatru Współczesnego — Grzegorz Warchol (pyszna farsa „Z tyłu” na tej samej scenie) —

daje się pomówić o brak pojęcia jak wygląda wartko przeprowadzona intryka, żywy dialog, dobry gag, klimat zagrożenia, itd... trudno zrozumieć. A pojęcie ma, do diabła!!! Dlaczego więc podpisuje przedstawienie tak bezbarwne (nie mam na myśli kolorowej scenografii), jak „Niezwykła przygoda” swoim imieniem i nazwiskiem? Nie wiem. Aktorzy męczą się, każdy ma o dwie ręce i dwie nogi za dużo. Grają zmordowany brakiem konceptu „luz”, tak jakby nigdy o „luzie” nie mieli nawet luźnego wyobrażenia. Jedna fałszywa scena goni drugą. Dlaczego nikt się nie zastanowił, kiedy bohaterowie owej nieszczęśliwej przygody na „X-25” naprawdę się boją, a kiedy bawią się bez troski. Wszystko w tym samym tonie, aż się pisać nie chce...

Najgorsze zdanie mam o najwystawniejszym spektaklu czyli o „Przygodach Sindbada Żeglarza” na scenie Teatru Polskiego. Po obejrzeniu adaptacji i inscenizacji Marii Straszewskiej można dojść do wniosku, że baśń ta nie da się przełożyć na teatralny język. Może dlatego właśnie musimy oglądać próbę wykpienia tej pięknej potyckiej transpozycji baśni o Sindbadzie? Wszystko jest tu na odwrót. To co ma być niesamowicie straszne jest śmieszne (Diabeł Morski) albo nudne i głupawe (cisza morska). Trudno poznać czym się różnią czarne charaktery od pozytywnych bohaterów. Zginęły nie tylko subtelności (bardzo cienki dowcip), ale i pewne nośniki konstrukcyjne (różnice między egzotycznymi krainami). Ciągnie się jak za gęstą leguminą.

Jedynym twórczym elementem i najlepszą w trzech omawianych spektaklach jest scenografia Jacka Zagajewskiego (zwłaszcza pałac i żagle). Szkoda, że nie ma więcej takich elementów stwarzających niebanalny klimat.

Szczęście, że moja pięcioletnia kochanka, w towarzystwie której oglądam przeważnie bajki, nie jest dzieckiem genialnym i nie umie jeszcze czytać, zatrudaby mi życie. Jej to ostatnie przedstawienie bardzo się podoba.

Ja jednak wierzę, że baśnie można chłonać w języku teatru. Przekonał mnie o tym niedawno skromny trzyosobowy Teatr Wiebak z Poznania, który zajął się baśniami Andersena i braci Grimm twórczo je przetwarzając. Najbardziej łączą trzy dolnośląskie premiery dla dzieci beznaście opracowane i wydane programy teatralne.

Siedząc na widowni razem z młodymi widzami dostaję często wysypki, gdy aktorzy nie tylko

mizdrzą się tandetnie, ale jeszcze za to mizdrzenie wymuszają oklaski („klaskajta będzie wam wesoło”). Dumni z takich pomysłów reżyserzy nazywają to „nawiązaniem żywego kontaktu z widownią”. Trudno o coś idiotyczniejszego. Mało kto potrafi zaproponować dzieciom wspólną zabawę na zasadzie partnerskiej. Czy teatru mającego artystyczne ambicje nie powinno być stać na spektaklu, w który młodsi widzowie mogliby autentycznie ingerować do tego stopnia, by zmienić jego bieg? Sam sobie odpowiem — nie stać!

Za jakiś czas, gdy siądę na widowni, ktoś ze sceny znów będzie wrzeszczał: „Cała sala śpie-



Jeden z rysunków wypełniających program legnickiego spektaklu. Rys. M. Ankowiak

wa z nami! Bierzemy siasładow za ręce i kołyszemy się! A teraz dziękujemy artystom! Oklaski! To są oklaski? Mocniej! Chyba jedliście śniadanie”.

Spektakle dla dzieci odbywają się przeważnie do południa. Co z tego wszystkiego wynika? No cóż, artysta, człowiek wrażliwy, może bardziej niż dziecko, z samej pensji nie wyżyje. Musi mieć jeszcze artystyczną satysfakcję...  
**KRZYSZTOF KUCHARSKI**

P.S. Po tym felietonie chciałbym gorąco polecić wszystkim, którzy nawet w najmniejszym gronie opowiadają dzieciom jakieś fikcyjne historyjki, by do poduszki po „dobranocce” przeczytali chociaż na raty znakomitą książkę Brunona Bettelheima „Cudowne i potężne”. O znaczeniach i wartościach baśni”.

Zgryllowy K.



Najzabawniejszą postać w „Przygodach Sindbada Żeglarza” stworzył Andrzej Szopa (Wuj Tarabuk) siedzący po prawej stronie, naprzeciwko Marka Feliksiaka (Sindbad) w towarzystwie często zmieniającego kostiumy Zbigniewa Walerysia (Mirakles).  
Fot. Adam Hawalej